

O Staśku co chciał dojść do słońca cz.1

/ Dawno dawno temu za siedmioma górami za siedmioma lasami w starej chacie mieszkał sobie chłopiec o imieniu Stasiak. Miał trzech starszych braci, a każdy z tych braci miał jakieś marzenie. Każdy chciał dotrzeć do jakiegoś miejsca, tak jak my czasem chcemy pojechać za granicę do Turcji albo Szwecji lub jeszcze gdzieś dalej. Wtedy jednak nie było pociągów ani samolotów, a nawet ludzie nie wiedzieli co to są samochody. Szło się na piechotę, lub jechało na koniu. Wóz był wielką wygodą, na którą zwyczajni chłopcy nie mogli sobie pozwolić. Podróże trwały z tego powodu bardzo długo i były niebezpieczne.

Mimo to najstarszy brat pragnął zobaczyć kiedyś ogromne góry. Drugi chciał zamieszkać w wielkim mieście z wysokimi, nowoczesnymi budynkami, a trzeci ujrzeć na własne oczy bezkresne morze. Stasiak nie miał takiego marzenia, ale stwierdził, że też wypadłoby coś zobaczyć. Nie może być przecież gorszy, jeśli oni ruszą w podróż to on też. Zastanawiał się długo i myślał nocami, ale jakoś żadne miejsce nie wydało mu się pociągające. Aż tu pewnego bardzo upalnego dnia spojrzął w górę i już wiedział gdzie chce dotrzeć. Postanowił, że dojdzie do słońca. Był bardzo ciekawy, co też może się tam kryć. Skąd się bierze to ciepło. Tak, to będzie moje marzenie. - pomyślał.

Stasiak nie chodził do szkoły i nie wiedział nic więcej o słońcu niż to, że pojawia się w dzień, a znika w nocy. Kiedy jest pochmurnie, ginie za chmurami, a kiedy jest ładna pogoda, to grzeje milutko w plecy.

Gdy pobiegł o tym powiedzieć swoim braciom, że wybierze się w podróż do słońca, chcieli mu to wybić z głowy. "Postradałeś zmysły!" - Krzyczeli i podśmiewali się ze Staśki. Nie myślcie tylko, że zrezygnował z wyprawy. Wręcz przeciwnie. Jeszcze bardziej się uwziął i jeszcze bardziej pragnął spełnić swoje marzenie.

Nie mógł ruszyć jednak tak od razu. Jego bracia nie byli dorośli, a więc tym bardziej on nie miał jeszcze wielu lat.

W piętnastą rocznicę narodzin najstarszego z rodzeństwa wszyscy byli bardzo przejęci. Tego dnia po raz pierwszy ktoś wychodził z domu na długi, długi czas, a może i na zawsze. Były łzy i uściski. Ojciec dał swojemu pierworodnemu najlepszy topór jaki miał w domu. Mówił "W górach na pewno ci się przyda". Matka długo stała jeszcze za synem i machała mu chustką na drodze.

Po roku wyruszył i drugi syn. Rodzice wręczyli mu sporą część swoich oszczędności. Twierdzili, iż w dużym mieście nie poradzi sobie bez pieniędzy. Bardzo im podziękował, ucałował każdego i znikł, a za nim na ścieżce zostały tylko ślady starych sandałów odbite w kurzu.

Nadszedł czas i na trzeciego. Trudno mu było rozstawać się ze Staśkiem, z którym spędził swoje dzieciństwo i z kochanym tatą, i mamą. Dostał od nich wędkę. Niedawno została znaleziona na strychu. Prawdopodobnie należała do wuja, który tylko raz ich odwiedził i zostawił im ją w prezencie. "Skoro jedziesz nad morze, weź ją, a nie będziesz cierpieć głodu." - rzekł ojciec. Syn podziękował i z mokrymi oczami odszedł.

Mijały miesiące. Stasiak pomagał w domu, bo rodzice nie byli już najmłodsi, ale i on musiał w końcu skończyć piętnaście lat. Wiedział, że oni woleliby, żeby został z nimi. Nawet raz mu to powiedzieli, ale nie mógł wiecznie żyć w tym samym miejscu. Zgodził się jeszcze poczekać z tym pół roku, lecz i ono zleciało jakby to był jeden dzień. Stasiak nie był już Staśkiem a Stachem. Zatrzaszczył się jeszcze o przyszłość rodziców i powiedział, że będzie o nich pamiętał. Nie wiedzieli co mu dać, ale on powiedział, że niczego mu nie potrzeba, i że nawet jeszcze nie wie którą prowadzi drogą do słońca.

- Ech, synku ty nadal wierzysz, że da się tam dojść? - Westchnął zmartwiony tata.

- Mówiłem wam. Nie zmienię zdania - to moje marzenie. Skąd wiecie, że nie da się tam dotrzeć, skoro nikt nie próbował.

- A więc życzymy ci szczęścia! - Krzyknęła mama do odchodzącego, ostatniego synka. - I pamiętaj, to ty jesteś naszym słońcem!

Stach wyszedł z wioski i szedł, i szedł, i szedł, aż doszedł do jeziora. Usiadł na brzegu i wpatrywał się w taflę wody. Zauważył jak słońce się w nim ładnie odbija rażąc w oczy i pomyślał: "A może to wcale nie jest tak, że się w nim odbija? Przecież równie dobrze to słońce na górze może być odbiciem tego tu, na dole. I tu jest przecież jezioro niebieskie, i niebo też jest niebieskie. I tu świeci słońce, i tam świeci słońce. Skąd możemy wiedzieć które jest to prawdziwe? A jeżeli prawdziwe jest tutaj, w tym jeziorze i to dzięki temu jezioru mamy dzień i noc? To właściwie upraszczałoby sprawę. Tak musiałbym się wspinać nie wiadomo ile, a tu proszę - wystarczy, że zanurkuje."

I chłop rozebrał się wskoczył do wody. Płynął w miejsce gdzie woda była coraz jaśniejsza, myśląc, że jest coraz bliżej słońca. Prowadziło to do tego, że w końcu się gubił i wypływał na powierzchnię. Kiedy się nie gubił, też mu się nie udawało, bo brakowało w płucach powietrza. "To rzeczywiście jest sprytne." - myślał - "Przewidziało słoneczko, że ktoś będzie się chciał do niego kiedyś dostać. Ale ja się tak szybko nie poddam!" I ponawiał próby, i nurkował, i skakał w różnych miejscach całe trzy godziny. Zapewne szukałby dalej, ale

napłynęły chmury (zarówno na niebie jak i w jeziorze) i zasłoniły oba słońca. "Pewnie te chmury też są stąd i tam się tylko odbijają." - Stasiek był pewny swojej tezy. I wtedy lunął deszcz. "Coś mi tu nie pasuje. Skoro chmury pochodzą ze stawu, to ze stawu powinno padać. Może i leje z dołu na górę, z ziemi do nieba, ale z trawy w takim razie też pada w odwrotną stronę. Nie tak nie może być..." I z przemyślenia zasnął.

Gdy rano się obudził, nic nie pamiętał ze swoich rozmyślań z ostatniego dnia. Może i by sobie przypomniał, gdyby zobaczył odbicie słońca w jeziorze, ale ono było jeszcze za nisko, bo było bardzo wcześnie. Nie zastanawiając się długo, ruszył w jego stronę.

Szedł, szedł, szedł i szedł. Nie wiedział nawet ile czasu, ale wiedział, że bardzo długo. Pewnego dnia zobaczył coś strasznie wysokiego. Było tego mnóstwo. Otaczało go ze wszystkich stron. Każde przypominało górkę, na której razem z przyjaciółmi zjeżdżał zimą na sankach. "No tak! To są góry." - pomyślał - "Tutaj miał dotrzeć mój najstarszy brat." Stasiek postanowił go odnaleźć. Popytał trochę ludzi i wnet dowiedział się, że jego brat został bacą i ma największe stado ze wszystkich ludzi mieszkających w górach. Ucieszył się na to, że dobrze mu się wiedzie. Z łatwością dotarł do jego haty.

- A ty nadal próbujesz dojść do słońca! - roześmiał się najstarszy brat, gdy rozmawiał ze Stachem.

- Wiem, że mi się uda! - Uparł się Stasiek - Tylko pokaż mi najwyższą górę jaka jest, abym mógł się na nią wspiąć i dosięgnąć do niego.

- Niech ci będzie. - Uśmiechnął się baca - To tamta, widać ją z okna.

Mężczyzna dał mu prowiant na drogę i kozuch ze skóry owcy, po czym Stach ruszył. Wszedł się dniami, w nocy odpoczywał. Nie zatrzymała go nawet burza, która przewróciła dąb pod którym spał. Nie zatrzymał wielki rów, z którego prawie spadł, ani żadne dzikie zwierze. Zastanawiało go tylko jedno: "Skoro jestem coraz bliżej słońca, powinno być mi coraz cieplej, a tymczasem jest coraz zimniej." Nieraz pojawiał się nawet śnieg. Przydawał się wtedy kubraczek od brata.

Nadszedł czas, że Stasiek stanął na samym szczycie góry. Nosił na sobie wiele zadrapań i dowodów, że podróż nie była łatwa. Miał nadzieje, iż będzie tak blisko słońca, że uda mu się go dotknąć. Tymczasem ono było nadal bardzo daleko w górze. Już miał stwierdzić, że to wszystko było na marne, gdy stanął na brzegu góry i spojrzał przed siebie. To jedno spojrzenie wystarczyło. Stach poczuł się jak Bóg, który widzi cały świat. Poczucił się jak król, który z najwyższej wieży pałacu patrzy na swoje królestwo. To była ziemia, która go wychowała. Dostrzegał wszystko. Wioski, jeziora, lasy i inne góry. "Niektórzy ludzie przeżyją sto lat i w swoim życiu nigdy nie doświadczą tego co ja teraz. Nie wiem, czy na łożu śmierci czułbym spełnienie, gdybym tego nie zobaczył. A jednak inni tak umierają. Rad jestem, że dane mi było przeżyć taką chwilę!" - wyszeptał.

Musiał w końcu zacząć schodzić w dół, gdyż kończyło mu się jedzenie. Cieszył się, że podjął tę próbę, ale postanowił na niej nie zaprzestać.

Stasiek znowu wędrował za słońcem. Zauważył, że idzie trochę jakby zygzakiem, ale nie przejął się tym zbyt. Podziwiał piękno przyrody i cieszył się, że świat go tak obdarował, że może je podziwiać. Maszerował już chyba z trzy miesiące, gdy dotarł do olbrzymiej dżungli. Nie wystraszyły go zwisające liany, wielkie drzewa, ani straszny gąszcz. Wszedł do puszczy i zaniemówił z wrażenia. Było tu tak pięknie. Takiego widoku jeszcze nigdy nie widział. Chodził po wielu lasach, ale nigdy po takim. Tyle tu rosło roślin. Niektóre były takie wysokie, że z pewnością dosięgały do słońca - pomyślał. Już miał zacząć się wspinać na jedno z nich, gdy drogę zastąpił mu duży kot - jaguar. Złakł się nie na żarty, ale już biegł do drugiego drzewa. Tam z kolei spotkał ogromnego węża dusiciela, który zwisał z gałęzi. Uciekał co tchu, aż wydało mu się, że znalazł odpowiednią roślinę, jednak nie mógł do niej dojść, ponieważ stało przy niej gigantyczne mrowisko. Chodziły po nim kolosalne mrówki, które widząc go ruszyły na jego buty. Stasiek podskakiwał i krzyczał, bo takie ugryzienie jest bolesne. Strasznie przy tym hałasował, więc w końcu zauważyli go Afrykańczycy przechodzący nieopodal.

"Miałeś dużo szczęścia!" - Mówili gdy strzepnęli z niego wszystkie owady i zaprowadzili do swojej wioski. "Tędy rzadko ktoś przechodzi, a w dżungli, zwłaszcza w nocy trudno tu przetrwać." Opowiedzieli mu wieczorem historię plemienia Tucanów, ponieważ zauważyli, że interesuje go temat słońca. A było to tak, że żył sobie kiedyś na ziemi dzielny tukan. Poleciał aż do słońca i wykradł jego kawałek, po czym przyniósł go ludziom na ziemię. Słońce jest strasznie ciepłe i ptak przypalił sobie skrawek dzioba.

- Naprawdę?! - wykrzyknął Stach - A więc pokażcie mi ten kawałek słońca!

- Spójrz na ognisko. Zobacz jak wesoło tam płonie.

- Ale to przecież tylko ogień! - Zdziwił się mężczyzna.

- Jeśli zostaniesz z nami trochę dłużej, przekonasz się jaki to skarb.

Jednak on wcale nie chciał zostawać. Po wspólnej kolacji podziękował, wyszedł z puszczy i ruszył w dalszą drogę, ale rad był z tych odwiedzin.

I znowu szedł i szedł. Spotykało go wiele przygód, których nie sposób opisać w tej opowieści. Wędrował tak

długo, aż zobaczył mrowie budynków. Ulic co nie miara i dorożek jeżdżących we wszystkie strony. "To musi być miasto. Tu miał dotrzeć mój drugi brat." - stwierdził chłopak. Ile tu było ludzi w pięknych strojach! U niego nawet w niedzielę się tak nie ubierano. Kroczył po chodniku podziwiając to wszystko myśląc: "U nas na wsi tylko nieliczni zobaczą takie luksusy. Mam szczęście, że ja się do tej garstki zaliczam." Po chwili odnalazł sklep z napisem "Warsztat u Bogusława". Tak właśnie na imię miał jego brat. Jak to dobrze, że nauczył się czytać od starego, mądrego dziada, który kiedyś się u nich się zatrzymał, bo w tamtych czasach rzadko kto chodził do szkoły. Wszedł, a tam powitał go sam Bogusław stojący przy ladzie.

- W ogóle się nie zmieniłeś! - Wykrzyknął braciszek gdy go zobaczył - Jak tam u ciebie?
 - Jestem w drodze do słońca.
 - Nadal go szukasz!? - zdziwił się mężczyzna i po chwili się roześmiał - Nie mógłbyś się gdzieś osadzić? Mnie się na przykład świetnie powodzi! Ciągłe jesteś w drodze? Ale powiedz mi - czy rodzice mają się dobrze? - nie dawał dojść do słowa Staśkowi.
 - Rodzice przesyłają pozdrowienia. Tak, nadal go szukam i chciałbym żebyś mi pomógł.
 - Moim zdaniem to bzdura, ale powiedz mi, czego sobie życzysz?
 - Wchodząc do miasta dostrzegłem na niebie latające maszyny. Nie wiem co to było, ale umie się unieść bardzo wysoko. Z czymś takim na pewno z łatwością doleciałbym do słońca.
 - Ach tak. Widziałeś samoloty? Masz szczęście. Dopiero niedawno je wynaleziono i nie można tak sobie po prostu nimi latać. Masz szczęście, bo jestem mechanikiem i mam swoje znajomości. Często reperuję samoloty - to nie są bezpieczne maszyny, ale jeśli chcesz, umówię cię na pojutrze z moim znajomym - on jest lotnikiem.
 - Och świetnie! Wielkie dzięki! - Zawołał Stach i już dwa dni później zapinał pasy w samolocie. Urządzenie tonie wyglądało jednak tak samo jak nasze samoloty, którymi teraz latamy - ogromnymi, do których może się zmieścić kilkadziesiąt osób. Do tego mogły się zmieścić tylko dwie osoby - on i jego pilot.
 Gdy samolot się uniół i leciał coraz wyżej i wyżej, Staśkowi zaparło dech w piersiach. Stąd ludzie wyglądali jak mrówki, łażące po kuchni. Wyznaczonymi ścieżkami, dreptały całe tabuny malutkich stworzeń, zapracowanych, goniących przed siebie w pośpiechu. Budynki, które wydawały się takie ogromne, też już nie wyglądały potężnie. Ot po prostu klocki do zabawy. "Już wiem, co to znaczy patrzeć na kogoś z góry" - stwierdził chłop. Był taki szczęśliwy, że mógł lecieć, czymś co dla innych było tylko marzeniem. Oglądał przepiękne widoki. Nawet stojąc na wielkiej górze nie widział czegoś takiego. Teraz czuł się jak oswobodzony ptak. Teraz czuł się wolny. Teraz w końcu oderwał się od ziemi!
 Co prawda samolot potrafił latać bardzo wysoko, ale nie aż tak, żeby dolecieć do słońca, ale Stasiak się tym nie przejął. Widział rzeczy tak piękne, że gdyby mógł być tam w górze przez całe życie, toby zapewne zrezygnował ze swojego celu. Musiał jednak kiedyś wrócić na ziemię, więc już po kilku dniach spędzonych u swojego brata ruszył w dalszą drogę.

Szedł, biegł, stapał, maszerował, kicał, czołgał się i przedzierał przez mniej - więcej pół roku, ale tylko w dzień, bo w nocy słońca nie widać. I tak sobie pewnego razu chłopczyzna pomyślał: "Skoro nie widać go w nocy, to znaczy, że musi się ono gdzieś chować, bo raczej nie znika zupełnie, z rano się pojawia. Ciekawe tylko gdzie jest jego kryjówka? [Tato - MINUS]". Od tej pory Stasiak zaglądał we wszystkie możliwe miejsca, z nadzieją, że je tam znajdzie. Poruszał się przy okazji coraz dalej i dalej w nieznaną łądy.

Pewnego dnia idąc lasem /

Jeżyk